

Jazzpress

STYCZEŃ 2014

Gazeta internetowa poświęcona
muzyce improwizowanej

ISSN 2084-3143

Rozmowy:

Adam Pierończyk

Andrzej Jagodziński

Ralph Alessi

Marek Greliak

Marek Napiórkowski

Lubię jak sie dzieje!

Marek Napiórkowski, Fot. Kuba Majerczyk

fot. Kuba Majerczyk



Marek Napiórkowski - gitarzysta, kompozytor, producent. Artysta o wielu obliczach: balladowo-lirycznym, czy też takim „z rogami”. Lider i sideman. Pod własnym nazwiskiem wydał właśnie czwarty album. W rozmowie z JazzPRESS-em opowiada m.in. dlaczego na okładce swojej najnowszej płyty *UP!* wygląda staro, z czym nie chce być kojarzony i dlaczego Artur Lesicki nazywa go swoim gitarowym Mistrzem...

Lubię jak się dzieje!



Ola Nowosad
ola@radiojazz.fm



Jerzy Szczebakow
jerzy.szczebakow@radiojazz.fm

Jerzy Szczebakow: Czujesz się starym człowiekiem?

Marek Napiórkowski: No nieeee. I mam nadzieję, że płyta, którą ostatnio nagrałem, świadczy też, że jeszcze ochota w żołnierzu jest i coś się chce robić – coś, co w tym przypadku wymagało dużo zachodu, dużo trudu... Na twarzy muzeum, ale w głowie liceum (śmiech...).

J.S.: No właśnie, bo znakomite zdjęcie, jakie jest na okładce twojego nowego albumu, to zdjęcie twarzy człowieka steranego trasami, życiem muzyka. Sugerujące, że jesteś już z drugiej strony.

M.N.: Czyli mówisz, że okładka „pachnie ziemią”? No dobrze, przyjrzyjmy się zatem temu od kuchni. Zdjęcie okładkowe, podobnie jak inne zamieszczone na płycie, robił fantastyczny fotograf Rafał Masłow. Fotografia była jasna i optymistyczna. Jednym ruchem Rafał ustawił w komputerze taki kontrast, że zdjęcie nabrało „milesowskiego” mroku. Kiedy zaczęliśmy oglądać wszystkie foty z sesji i je porównywać, okazało się, że to zdjęcie ma wyjątkowy charakter. Mam nadzieję, że wasza – JazzPRESS-owa – okładka, potwierdzi to, że normalnie wyglądam przecież młodziej (śmiech...)!

Ola Nowosad: Wspomniałeś o trudach przy pracy nad najnowszym krążkiem...

M.N.: Tak, bo całość była bardzo trudna. Zacznę od tego, że nagrywam pod swoim szyldem, tylko je-

śli mam coś istotnego do opowiedzenia. Dlatego moja pierwsza autorska płyta wyszła, gdy miałem 35 lat. Mimo że na najnowszą płytę skomponowałem wszystkie utwory, to prawdziwy trud wiąże się ze zorganizowaniem całości. Jak zacząłem sobie ten materiał wyobrażać, przyszedł mi do głowy pomysł, żeby do kwintetu jazzowego dołączyć zespół muzyków klasycznych, którzy stworzą piękną paletę brzmień. Zacząłem pracę nad materiałem właśnie pod tym kątem. Kiedy już wiedziałem, że to jest właściwy kierunek, zadzwoniłem do największego fachowca w dziedzinie aranżacji w tej części świata – Krzyska Herdzina, który naprawdę słyszy współbrzmienia instrumentów w sposób absolutnie niezwykły! Przy winku ustaliliśmy, że tych instrumentów musi być dziewięć: flet, dwa klarnety, klarnet basowy, obój, fagot, waltornia, wiolonczela, puzon... i tak po raz pierwszy wydarzyło się, że nie miałem pełnej kontroli nad swoją płytą.

O.N.: Bardzo zaufałeś Krzysztofowi Herdzinowi.

M.N.: Tak, ale nie bez znaczenia jest fakt, że utwory miały już określony kształt. Napisałem np. dokładne partie basu, tam gdzie były one istotne, akordy miały konkretne voicingi, było dużo informacji, dużo rozmawialiśmy o tym materiale. Poza tym wysłałem mu maila, w którym wyłuszczyłem, z czym mi się konkretne utwory kojarzą. Na przykład w nieco mrocznym utworze „Teatr” sugerowałem klimat rodem z „Alfred Hitchcock zaprasza”. Starałem się wpływać na jego wyobraźnię, a że Krzysiek jest człowiekiem bardzo utalentowanym, to napisał wspaniałe aranżacje. Najpierw zaprezentował mi je w formie komputerowego demo, na które nanieśliśmy kilka poprawek.

J.S.: Dużo było tych uwag?

M.N.: Właśnie nie! To były raczej niuanse, a to za czymś nie szalałem, a to proponowałem dodanie jakiejś melodii, która przysłała mi do głowy... Kiedy już materiał został nagrany, w czasie miksów odjąłem niektóre rzeczy, gdy czułem że wychodziło zbyt gęsto. No więc to jest pierwsza trudność: doprowadzić do napisania aranży. Dalej jest logistyka obecności perkusisty Clarence'a Penna...

J.S.: No właśnie – Clarence Penn. Poprzednia płyta *KonKubiNap* nagrana była z Cezarym Konradem. Często do tej pory wspierałeś się sekcją Kubiszyn/Konrad. Skąd zmiana?

M.N.: Bo ta płyta jest inna. Do każdego swojego płytowego projektu zapraszałem innego perkusistę. Grali ze mną Robert Luty, Michał Miśkiewicz czy właśnie Czarek Konrad. Przywiązuję wielką wagę do obsadzenia tego stanowiska, bo uważam, że perkusja jest sercem zespołu. Tym razem zamarzyłem sobie, by zagrał niezrównany Clarence Penn, który jest topowym nowojorskim bębniarzem i od mainstreamu, i od nowocześniejszego grania. Robert Kubiszyn zna się osobiście z Clarencem, co umożliwiło bezpośredni kontakt. W studio bawiliśmy się w zadawanie mu pytań o postaci z absolutnego jazzowego panteonu: „a z tym grałeś? A z tamtym grałeś?” i on z nimi wszystkimi grał! Bardzo

zależało mi na jego obecności, a z tym wiązały się różnorakie trudności. Płyta została nagrana „na setkę” – w dwa dni w studiu Sound & More – w czternaście osób. Clarence był w Warszawie zaledwie trzy dni. Jeden dzień próby, dwa nagrań. Trzeba było się bardzo skoncentrować.

J.S.: Skoro jesteście przy obsadzie albumu, opowiedz o pozostałych.

M.N.: Robert Kubiszyn, zawsze jest na moich płytach, jest współproducentem. Darzę go ogromnym zaufaniem, do tego jest świetnym basistą i kontrabasistą, bardzo uniwersalnym muzykiem. Poza tym zna się świetnie na nowych technologiach, komputerach i pracy studyjnej. Dwóch solistów, Adam Pierończyk – wybitny muzyk, grający bardzo wyrafinowaną, konceptualną muzykę, usłyszawszy dema utworów, przyjął moje zaproszenie do nagrań. Znakomicie się znalazł w tej muzyce. Podczas nagrań żartował: „no dobra Napiór, teraz spróbuję ci nagrać lirycznie”. Oczywiście, ja nie sugerowałem mu żadnych artystycznych wyborów, chciałem, żeby grał swoim językiem, który bardzo lubię. Drugim solistą jest legendarny Henryk Miśkiewicz, który jest naturalnym kompanem moich różnych muzycznych przedsięwzięć, ale numer polega na tym, że tu nie gra na saksofonie, tylko na klarncie basowym! Zagrał improwizacje

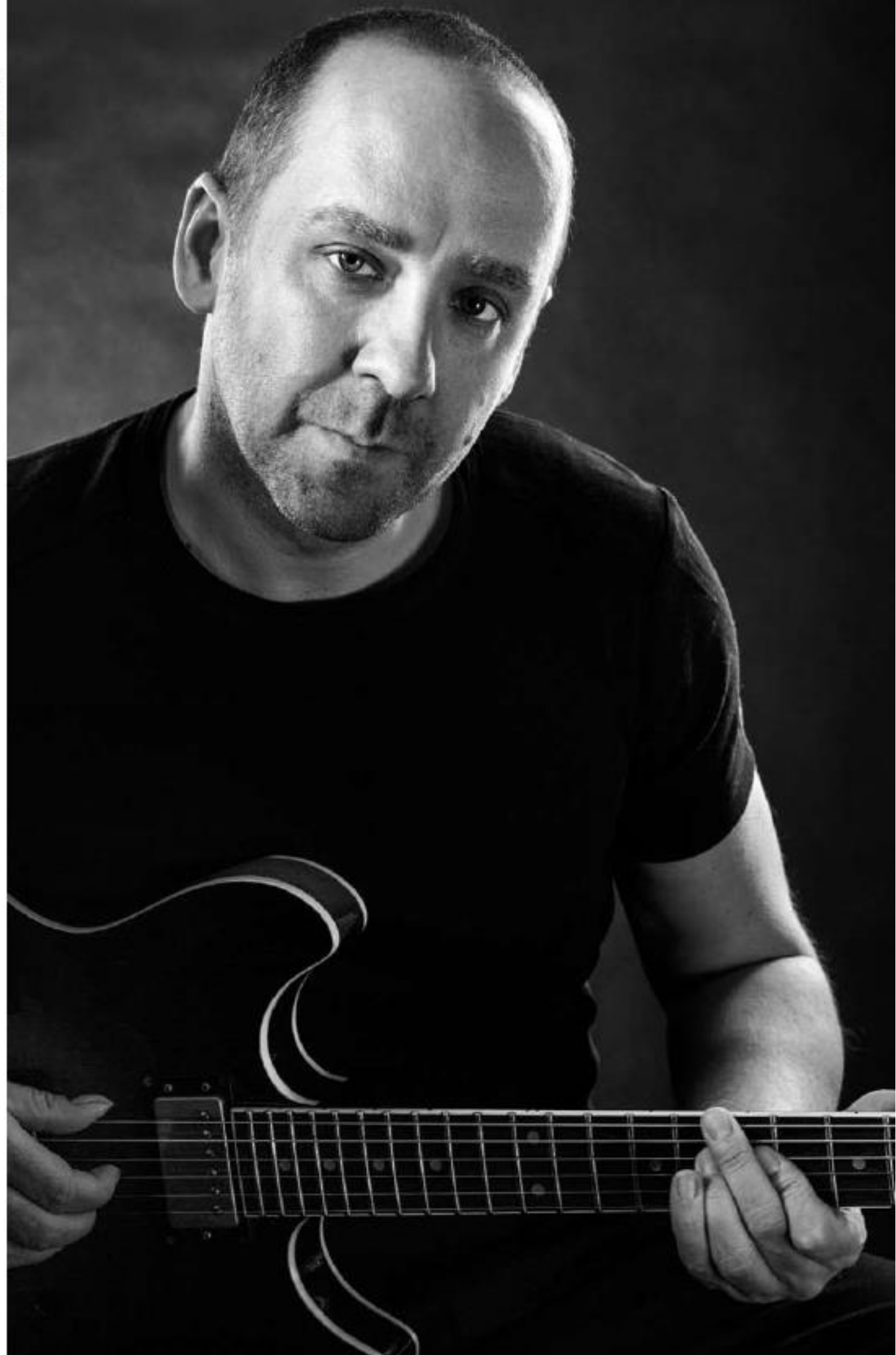
w dwóch utworach: w jednym solo liryczne, a w drugim freejazzowe, odjechane. To, że zagra wspaniałe sola, było oczywiste dla wszystkich, natomiast ja go poprosiłem, żeby oprócz tego, wziął udział w pracy nonetu, mimo że partie klarnetu basowego były bardzo trudne.

O.N.: Nijak się nie da sklasyfikować tej płyty, bo nie jest to jazz, fusion, klasyka, muzyka współczesna...

M.N.: Moim zdaniem jest to płyta jazzowa. Gramy muzykę improwizowaną. Jazz jest przecież bardzo szerokim pojęciem. Energia na płycie jest stricte jazzowa, choćby dlatego, że wszyscy muzycy z zespołu wywodzą się z jazzu i grają jazz. Ba! Clarence grał nawet z Dizzym Gillespiem. Mnie jazz nie kojarzy się z walkingiem, tylko z poczuciem wolności improwizatorskiej, wyrafinowaniem harmonicznoritmicznym. To nie jest mainstream, tylko nowoczesny jazz. Oczywiście nie w stronę awangardy, tylko postrzegany jako wypadkowa różnych wpływów współczesności otaczających mnie jako muzyka. Druga sprawa, że ja nie lubię szufladek czy metek. To jest po prostu muzyka Pana Marka Anno Domini 2013. Tak to słyszałem, taką miałem historię świata do opowiedzenia i ani przez sekundę nie zastanawiałem się jak to zostanie sklasyfikowane. A faktycznie wyszło coś pomiędzy stylami.

J.S.: Dość mocno odskoczyłeś od swojej poprzedniej płyty, nagranej w power-trio, która była zapisem koncertów.

M.N.: Celowo, bo ja lubię jak się dzieje! Jakby przeanalizować wszystkie moje autorskie płyty... Pierwsza – NAP – była takim przedstawieniem się, czyli było „Nap – jazzowanie”, było „Nap – kwilenie”, było trochę fusion, byli Możdżer, Henio Miśkiewicz i inni koledzy... Druga – Wolno – już była koncepcyj-



na. Balladowa z założenia. Trzecia – *KonKubiNap* – gramy w trio męską muzykę. I naprawdę live, nie ma ściemy! No i czwarta – *Up!* – duży skład. Czynnikiem spajającym moje albumy jest moje granie. Powiem więcej, słyszałem ostatnio jakieś prehistoryczne nagranie z czasu, gdy miałem dwadzieścia lat, gdzieś z TV Wrocław. W pewnym sensie wszystkie charakterystyczne elementy mojego grania były już wtedy słyszalne. Oczywiście rozwinąłem się, zmądrzałem, zestarzałem (*śmiech...*). Uwielbiam jak muzyka jest spójna z osobowością artysty. Miałem zaszczyt cztery lata grać z Tomaszem Szukalskim. On dokładnie taki był, jak grał. I liryczny, i niegrzeczny. Mam nadzieję, że ta moja gitarka też oddaje moją osobę.

O.N.: No właśnie, czyli ta nowa płyta mówi, jakim jesteś teraz człowiekiem: nie muszę się ścigać, spokój i pogoda ducha?

M.N.: Bardzo mi miło, że tak to odebrałaś. Faktem jest, że muzyka nijak nie kojarzy mi się ze ściganiem. Jako muzyk doceniam wirtuozerię, natomiast jak nagrywam własne płyty, nigdy nie myślę o popisach. Nie korci mnie epatowanie techniką. Chcę dać ludziom ciekawą i piękną muzykę. Jediną moją autorską płytą, która ma wirtuozerskie znamiona, był *KonKubiNap*, nagrany live. A na koncercie bywa, że jest rzeźnia,

ale wynika to z naszej naturalnej energii i ekspresji.

J.S.: Jest duża różnica między „Napiórkowskim na płytach studyjnych” i „Napiórkowskim na żywo”. Ostatni raz na żywo widziałem cię z zespołem Full Drive Henryka Miśkiewicza – w ramach II Mokołów Jazz Fest 2013 – i w przeciwieństwie do tego co w studiu, na żywo zamieniasz się w zwierzę!

M.N.: Ja tego nie szacuję. Jeśli ktoś zapyta: „czy wolisz być w studio czy na scenie?”, odpowiadam – na scenie. Z drugiej strony, ważny jest koncept. Jak grałem trasę *Wolno* z Kubiszynem, Tokajem i młodym Miśkiewiczem, to prawie wszystko grałem na „pudle”, bo takie było założenie. Koncepcja muzyki implikuje naturalnie sposób grania. To, co słyszę, inspiruje mnie do konkretnego muzykowania.

J.S.: Ja czekam na takie twoje *Still Warm*. Studyjną płytę z mocnym, bardzo energetycznym graniem.

M.N.: Sympatyzuję z takim graniem, podobnie jak i z graniem lirycznym. Tak jest. Jak dochodzi do komponowania, idzie jednak w inną stronę... Faktycznie, kiedyś myślałem, żeby nagrać płytę w stylu *Still Warm*. Póki co, mogę obiecać, że następną płytę nagram zupełnie inną niż ostatnia (*śmiech...*).

J.S.: A nie kusi cię, żeby jak Metheny nagrać płytę solo?

M.N.: Chyba, że *Zero Tolerance For Silence* (*śmiech...*). Nie specjalizuję się w graniu solo. Zainteresować słuchaczy konceptem solo jest bardzo trudno. Bardzo cenię muzyków, którzy nagrali takie płyty: Joe Pass nagrał mnóstwo, Pat w trochę innym kontekście, balladowo-akustycznym... Może kiedyś mi się to zdarzy. Im mniej osób na froncie, tym trudniej coś zwojować.

J.S.: Pat jest twoją inspiracją?

M.N.: Pat wywodzi się z muzyki brazylijskiej, z włoskiej kantyleny i oczywiście z jazzu, w postaci Wesa Montgomery'ego oraz z Jimiego Hendrixa (sic!) – zawsze o tym mówi. Ja jestem młodszy od Pata, chociaż – jak wiemy z okładki mojej płyty – wyglądam gorzej, ale jestem z tego samego pokolenia wpływów. Kurt Rosenwinkel zapytany o idoli nie mówi – jak robi to wielu – o starych mistrzach, odpowiada wprost: John Scofield i Pat Metheny. Czyli już stali się klasykami. I ja też wymieniałbym tych dwóch jako najważniejsze głosy. I jeszcze Frisell! To jest ta trójca. Oczywiście są jeszcze John Abercrombie, Scott Henderson i tak dalej...

J.S.: Przejdźmy do Napiórkowskiego w roli sidemana. Od wielu, wielu lat jesteś członkiem zespołu Henryk Miśkiewicz Full Drive.

M.N.: Płyty z Heniem Miśkiewiczem wszystkie są nagrane live. To lubię, tak gramy i nie ma żadnego cyzelowania. Wszyscy przynosimy utwory – fajny, demokratyczny zespół. Henio jest liderem i marką tego zespołu. Jako anegdotę opowiem, że ja go do założenia tego zespołu w jakimś sensie namówiłem. Mieliśmy kiedyś w Poznaniu koncert do zagrania i zrobiliśmy to w składzie: ja na gitarze elektrycznej, Sławek Kurkiewicz na kontrabasie i Henio na saksofonie. Przedziwny skład. Zagraliśmy i to się spodobało, następny zagraliśmy już w kwartecie, potem muzycy się zmieniali i chyba z tego powstał Full Drive.

J.S.: Kolejny projekt, z którym jesteś na stałe związany to zespół Doroty Miśkiewicz.

M.N.: Tak, piszę dla niej piosenki i bardzo to lubię. W zespole grają jazzmani, chociaż nieco prościej. Lubię świat piosenki, sam wychowałem się na Beat-

lesach. Dorota, jako artystka, nigdy nie ograniczała się jedynie do muzyki jazzowej, mimo że wyrosła w tym środowisku, dobrze swinguje, dobrze słyszy, umie stylowo zaśpiewać bluesa, jest w stu procentach z tego świata. Co więcej – jak w przypadku projektu Nahornego Szymanowski – jest w stanie zaśpiewać koszmarnie wprost trudne melodie. Ona nie oscyluje w stronę popu. Najprostszą jej płytą była *Pod Rzęsami*. Kolejne albumy, *Caminho* (m.in. z Marcinem Wasilewskim i brazylijskim perkusjonistą Guello) czy bardzo oryginalnie brzmiące *Ale*, były już trudniejsze do sklasyfikowania. Co mnie z tym łączy? Piszę muzykę i to jest wyzwanie, bo piosenki muszą być komunikatywne, ale nie mogą być banalne.

J.S.: Anna Maria Jopek.

M.N.: Fajna dziewczyna (śmiech...). Ania to niezwykle zjawisko. Od ośmiu lat, czy nawet dziesięciu, jeździ z sukcesami po świecie. Tam projekt Anki jest postrzegany jako łączący muzykę folkową, czy etno, z której się wywodzi, bo przecież jej rodzice pracowali w zespole Mazowsze – z energią muzyków jazzowych. Zjechaliśmy z nią prawie cały świat. Byłem z nią kilka razy w Japonii, gdzie m.in. zagraliśmy szesnaście koncertów w Blue Note Tokio, najlepszym, moim zdaniem, klubie jazzowym na świecie. Nikt z Polski

chyba tego nie dokonał. Osiem dni, dwa koncerty dziennie. Komplet publiczności. Anka marzy o tym, żeby kojarzyć ją z tzw. muzyką polską i jednocześnie zadaje pytanie: „czym polska muzyka jest?” Bo przecież nie jest to blues w F-dur czy „Ona tańczy dla mnie”. Prawdopodobnie to dziedzictwo tkwi w folklorze. Anka ma w sobie nadwiślańską słowiańskość i robi co może, żeby folkowe elementy brzmiały jak najszlachetniej, żeby wyciągnąć jak najwięcej jakości z polskiej muzyki. Na płycie *Polanna* jest Karol Szymanowski, Moniuszko, Wacław z Szamotuł itd. Na krążku *Haiku* są polskie melodie ludowe skonfrontowane z folklorem japońskim. Ciągłe sięga do muzyki ludowej. Ania zawsze miała ciągoty do otaczania się muzykami jazzowymi i ma swój koncept, który coraz lepiej jest odbierany na świecie.

O.N.: Powiedziałeś z czym, według ciebie, chciałaby być kojarzona Ania Jopek. A ty, jako frontman, z czym chciałbyś być kojarzony?

M.N.: Ona ma pomysł, który można opisać słowami. Czerpie z muzyki ludowej, mieli to przez swoją wrażliwość i chce być Anną Marią Jopek, która jest z Polski: Pol-Anną. Ja nie mam takich konkretnych wpływów. Ciężko mi opisać z czym chciałbym być kojarzony... Pewnie z tym, co słychać na moich płytach i koncertach

– ze spektrum działań. Z albumami i projektami, w których dywersyfikuje się mój muzyczny świat. Z przedsięwzięciami, w których się nie nudzę. Od wielu lat realizuję potrzebę muzykowania. Chcę być kojarzony z budowaniem mojego muzycznego języka. Nie jest to łatwe, gdyż mam dużo inspiracji i tak samo kręci mnie granie dwóch dźwięków na akustyku, jak ekspresyjne „rzężenie”. Moim marzeniem jest, żeby dotychczasowe płyty i te, które w przyszłości nagram, coraz bardziej definiowały mnie w muzyce. Zależy mi, żeby ten język się coraz bardziej konstituował, nie da się go opisać słowami.

O.N.: A z czym byś nie chciał być kojarzony?

M.N.: Bulwersuje mnie kompletne niezrozumienie i przypisywanie mnie do gatunków lżejszych, niż to, co robię w istocie. Nie zajmuję się awangardą, czy współczesną muzyką poważną, ale od początku, od pierwszego dźwięku, który zagrałem jako lider, zajmuję się muzyką wyrafinowaną i trudną. Komponuję muzykę niełatwą harmonicznie i wykonawczo. Czy ona brzmi lekko? Bardzo bym chciał żeby była komunikatywna. I bardzo mnie bulwersują opinie, jakoby to, co robię, ocierało się o użytkowe formy muzyczne. Pata Metheny'ego, czy Johna Scofielda, też można puścić w windzie, ale żaden z nich nie jest muzykiem pozbawionym głębi, chociaż Sco grywa proste bluesy, a Pat ballady.

J.S.: Chciałbym sięgnąć do twoich korzeni, czyli zespołu Funky Groove – ty i Artur Lesicki na gitarach, Tomek Grabowy na basie i Marcin Jahr na bębnach.

M.N.: Wojowaliśmy razem przez wiele lat i to był mój główny zespół, który naturalnie wygasł, gdy wszyscy zaczęliśmy mieszkać w innych miastach. Graliśmy razem przez dekadę, odnosiliśmy sukcesy, trafili-

śmy nawet do światowego katalogu płyt Polygramu, bodaj jako pierwszy polski zespół po transformacji ustrojowej.

J.S.: Tu chciałem wspomnieć o pięknej, a rzadkiej historii. Ty z Arturem Lesickim jesteście kumplami z jednej ulicy z Jeleniej Góry!

M.N.: To prawda, Lisek (Artur Lesicki) jest przyjacielem jakiego życzę każdemu. Od siódmego roku życia znaliśmy się z widzenia, od dziesiątego już bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Zaczęliśmy razem grać na gitarach. Jak twierdzi, jestem jego mistrzem, bo jak już umiałem cztery akordy: C-dur, a-moll, d-moll i G-dur, to nieodpłatnie odpaliłem mu tę wiedzę. Gdyby nie to, że razem się rozwijaliśmy muzycznie, to nie wiadomo czy obaj w życiu poszlibyśmy akurat w taką stronę. Pamiętam nasz pierwszy zespół – Kozioł Blues Band (od nazwiska perkusisty). Jak miałem piętnaście lat graliśmy koncerty, na które przychodziło całkiem sporo osób!

J.S.: Funky Groove miał jak na jazz nietypowy skład.

M.N.: To prawda. Dużo się wtedy nauczyłem o roli akompaniatora. Zgranie dwóch instrumentów harmonicznym wymaga sporo wiedzy i rutyny. Jeszcze trudniej jest, jak są to dwa podobnie brzmiące instrumenty. Bardzo to było rozwijające. Grając na dwie gitary, musieliśmy bardzo czujnie poruszać się w różnych rejestrach, pilnować voicingów, żeby tworzyły odpowiednią strukturę.

O.N.: Wybiegnijmy teraz w przyszłość. Czy masz z tyłu głowy projekt, do którego dążysz?

M.N.: Chyba nie. To jeszcze nie jest moment, żebym myślał o czymś nowym. Muszę trochę okrzepnąć.

Jeśli chodzi o idee fixe, to nie obraziłbym się, gdyby Vince Mendoza z Metropole Orchestra z Amsterdamu plus ja... (śmiech...). Moim marzeniem jest chyba duży zespół i ja w kontekście solistycznym.

J.S.: Vince, jeśli nas czytasz: dzwoń do Marka!

M.N.: Vince jest największy. Mam jeszcze jedno marzenie, pewnie mało realne... Żeby na którejś z moich płyt zagrał Wayne Shorter. Nie lubię przyznawać miejsc, ale w moim mniemaniu jest chyba najważniejszym żyjącym jazzmanem.

O.N.: Na zakończenie. Wszystkie wymienione dotąd nazwiska są znane i poważane przez naszych Czytelników. A czy masz coś takiego, co mogłoby nas zaskoczyć, że Napiórkowski słucha...?

M.N.: Wszyscy moi koledzy wiedzą, że w sytuacjach imprezowo-zakrapianych puszczam pewnego Włocha. Jest nim Lucio Dalla śpiewający utwór „Caruso”. Jestem w tej wersji zakochany, od kiedy usłyszałem ją przed laty we włoskiej knajpie w Hamburgu. W tym jest zawarta cała prawda, Lucio!!! ●

Zobacz: Lucio Dalla „Caruso” »

